

„Biało-czerwona narta”

Pamiętam ten moment, w którym się urodziła. To był siedemnasty dzień tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Zbocza górskich szczytów przyprószone były zimnym, białym puchem, odbijającym słabe promienie żółtego słońca. Zakopane faktycznie było zakopane; zima nie szczędziła, strasząc wszystkich mrozami. Pięcioletni Staszek pokrzywił się śnieżynkom, siadającym na przezroczyściej taflii w drugim pokoju. Ja zaglądałem jedynie przez zamknięte okna, szukając w pokoiku dziecka, które odważyło się zakłócić ciszę. Biały cały otulił ją troszeczkę, gdy z całą siłą napałem na szkło, przesuwając je. Śnieg towarzyszył jej od pierwszych chwil. Ktoś zamknął okiennice, nim zdążyłem na dobre rozgościć się w pomieszczeniu. A mała dziewczynka kwiliła radośnie, czując na policzkach mój podmuch. Już wtedy wiedziałem, że znaczy to coś więcej. Jedni powiedzieliby, że jej imię znaczyło Pochodnię, inni upieraliby się przy Blasku Księżyca. Dla mnie była Helutką. Małą, zabawną Helenką, a jednak już tak wyjątkową, jak ta, za którą dała się zniszczyć cała Troja. W tym jednak przypadku role miały się odwrócić.

Gdy dorastała, górskie szczyty nie były jej obce. Przykryte białą pierzyną prowokowały, by położyć na nich stopę, ulepić kulkę, czy po prostu usiąść i patrzeć przed siebie. Jej to jednak nie wystarczyło. Bronia, Marysia i Zosia skakały, śmiejąc się głośno podczas budowy bałwana, ale Helka wołała biegać za Staszkiem i Jankiem, kłócąc się, czyja kolej na zjazd na nartach, slalomem pomiędzy drzewami. Tata spoglądał na to pobłażliwie, coraz tłumiąc małe rewolucje wybuchające między rodzeństwem. W dziewczynce rosła wielka miłość, której nikt jeszcze podejrzewał. Na któreś urodziny dostała nawet od braci i ojca własnoręcznie zrobione narty.

Byłem tam za każdym razem, swoimi zimnymi palcami czerwieniąc policzki dzieciaków, wdzierając się w ich płuca, drapiąc chłodem gardła i rozwiewając włosy. W tej zabawie, w tajemny sposób została ukryta jej przyszłość. Mała znajdowała też czas, by słuchać opowieści mamy o Polsce. Helcia miała niecałe dziesięć miesięcy, gdy jej kraj wrócił na mapy Europy. Czasem widziała łzy w oczach mamusi, gdy wychodziły na ulice i, jak mówiła, wszystko było takie... *polskie*. Babcia tłumaczyła im wszystkim kiedyś, że tutaj, w Zakopanem, wcale nie było tak źle. Że Austriacy, jak na zaborców, naprawdę dobrze ich traktowali. Helka dorastała w miłości, tej odo rodziców, ale też tej do ojczyzny. Z piątką swego rodzeństwa i rodzicami uczestniczyła w uroczystościach patriotycznych, zwłaszcza tych, odbywających się jedenastego listopada. Dmuchałem w jej policzki, unosząc dziecięce kąciki ust do góry. Czasem niosłem polskie piosenki, otaczając ją ich dźwiękami, pozwalając, by wsłuchała się w nie uważnie. Podobało mi się to, jak zaciekawionymi oczkami wodziła po flagach, które rozwiewałem. Łopoczący materiał wydawał dźwięki tak podobne, do bicia jej serca.

W pierwszych zawodach wzięła udział szybko, już jako kilkulatka. Udało jej się nawet wygrać parę edycji. To chyba właśnie wtedy zaprzyjaźniliśmy się. Helutka nie wyobrażała sobie jazdy na nartach bez mojego zimnego powiewu. Pchałem ją, dodając szybkości, czasem, troszeczkę dla żartów, utrudniałem pracę, jednak zawsze dawała sobie radę, z moją pomocą, czy też bez niej. Zawsze była skromną osobą, jednak błędem było by powiedzieć, że nigdy nie zależała jej na wygranej. Raz chciała udowodnić Staszкови, że jest tak dobra, jak on. Kiedy indziej chodziło o to, by tata był dumny. Później jechała po pierwsze miejsce dla siebie, dla swojej satysfakcji. Najważniejsze było to, że robiła coś, co kochała. Śmiała się ze mnie nieraz, że znów udało jej się mnie

przegonić. Przyszedł taki moment, gdy mała Helka stała się mistrzynią Polski w narciarstwie. Pierwszy złoty medal zawisnął na jej szyi, a za nim zaraz sześć kolejnych. Ludzie mówią, że liczba siedem jest dopełnieniem, całością. W przypadku Marusarzówny tak właśnie było.

We wrześniu trzydziestego dziewiątego wybuchła wojna.

Hela i Staszek zgodnie odłożyli narty do szafy, wymieniając je na żołnierskie sprzęty. Trudno im było znaleźć czas na zabawę ze mną, nie biegali już, obrzucając się nawzajem białym puchem, nie wdychali mojego chłodnego powiewu, gdy wiosną niosłem zapach kwitnących pelargonii. Nawet ja nie mogłem już otulać się i płynąć w rytm polskich piosenek patriotycznych. Czułem się skrępowany, a ponoć Wiatru nie da się powstrzymać. Patrzyłem na rodzeństwo Marusarzów, z każdą chwilą coraz bardziej im współczując, a swoim delikatnym podmuchem robiłem wszystko, by choć trochę ulżyć w cierpieniu. Biały śnieg przybrał kolor czerwieni, gdy na zakopiańskim bruku lądowała kolejna osoba pozbawiona życia. Jednak służba w ZWZ wymagała poświęcenia i szaleńczej odwagi. A Hela nie uchylała się od tego obowiązku.

Nie słuchała moich ostrzeżeń, gdy w marcu czterdziestego roku z całych sił dmuchałem jej w twarz mrozem, by się zatrzymała, schowała. Ona jednak parła dalej do przodu, nie zważając kompletnie na nic. I to właśnie wtedy ją złapali. Krzychałem, targając włosy słowackich żandarmów. Podrzucałem śnieżne grudy w górę, próbując zmniejszyć im pole widzenia, chciałem pomóc Helutce, umożliwić jej ucieczkę. Ale się nie udało. Zabrali ją, niemalże od razu oddając w ręce Gestapo. Nawet ja, przelatując nad budynkami ich więzienia czułem się okropnie. Przez ten rok tak nasiąkałem już okrzykami bólu, skropiłem się łzami, nasłuchiwałem słów ostatni raz wyszeptanych. Próbowałem łapać każdą kroplę krwi, którą oni wycisnęli z kolejnego udręczonego ciała. Z całych sił uderzałem w materiał zawieszony na szkielecie samochodu, pod którym siedziała cicha Hela. Milczała, obracając w palcach dziesiątkę różańca. Wiedziałem, że się modli. Jej oczy mówiły tak wiele, gdy spod szeleszczącej plandeki spoglądała na biały puch. Tęskny wzrok pozwolił mi na sekundę uwierzyć, że żałowała. Że dałaby wszystko, by znów stanąć na swoich nartach, zjechać po stromym zboczu i poczuć moje muśnięcie na swoich policzkach. Kiedy jednak siłą wytargali ją z tego samochodu, wiedziałem, że gdyby miała wybór, podjęłaby dokładnie taką samą decyzję. Oczy pełne dumy, której nie potrafiłem zrozumieć. Przecież wiedziała, jak to się może skończyć, a zamiast się bać, szła wyprostowana z dumnie wypiętą piersią. Wyglądała jak te wszystkie Polki, o których opowiadał mi warszawski brat-wiatr, które katowane na Pawiaku jedyne, co mówiły, to że nie wydadzą, że nic nie wiedzą.

Łapałem każdy jej krzyk, który wydała podczas kolejnego przesłuchania. Pomagałem Ziemi schować każdą łzę, która spłynęła z policzka dziewczyny. Czasem zdarzało się, że suszyłem krew, która ciekła z kolejnego rozcięcia. Helutka nie pisnęła ani słowa, które mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić współtowarzyszom. Nie mówiła nawet o martwych, chcąc dać im spokój chociaż w tym momencie. Wiedziała też, że nie uniknie dzięki temu tortur, a, wbrew pozorom, tylko rozjuszy swoich oprawców. Helenka przypominała troszeczkę Prometeusza, dając się powoli zabijać dla dobra innych. Była jak bohaterka, codziennie na nowo spoglądając w oczy Kostuchy i śmiejąc jej się w twarz. Z całych sił uderzałem w więzienne okiennice, chcąc dobić się do niej i choć troszeczkę ulżyć. Marusarzówna spoglądała tylko w moją stronę, myślami będąc

podczas kolejnego zjazdu, pokonując coraz trudniejszy slalom. Obok niej jechał Staszek, śmiejąc się, że jak zawsze jest szybszy. A na szczycie stał ojciec z Jankiem, pomagając mu zapiąć nartę. Na końcu trasy mama pilnowała Marysię, Zosię i Bronkę, które tym razem obrzucały się śnieżkami. Prawda jednak była taka, że zbliżał się wrzesień czterdziestego pierwszego.

Wyprowadzili ją z celi pod osłoną nocy. Zapakowali do ciężarówki, traktując jak worek pełen śmieci, nie człowieka. Szeleściłem liśćmi drzew, które powoli zaczęły się złocić, by ukazać mój protest. Nie słyszeli mnie, albo przynajmniej nie chcieli. Rzucąłem samochodem na boki, próbując zniechęcić żandarmów, jednak to wszystko spełzło na niczym. Byłem bezsilny, gdy wyprowadzili ją i parę innych kobiet do lasu. Kazali im ustawić się nad wykopany dołem, obok którego stało dwóch chłopców z łopatami i dwóch kolejnych wojskowych. Zawyłem żałością, wiedząc, co się szykuje. Miały związane ręce, a oczy Heleny wbite były w księżyc, który swym blaskiem oświetlał jej twarz. Och, czyż nie był to okropny żart ze strony Losu? Bez wątpienia mogłem nazwać ją Pochodnią. Płonęła żywym ogniem dumy i miłości. Płomień ten miał jednak barwy bieli i czerwieni. Czerwieni tak ciemnej, jak krew, która płynęła z rany na jej czole zaraz po tym, jak ciszę przeciął wystrzał. Nie krzyknęła. Nie miałem co porwać w górę, by zanieść Staszewi. Widziałem tylko w jej oczach tęsknotę. Wydawało mi się, że odbijał się w nich blask śniegu, ubitego przez kolejny już z rzędu zjazd nart. Ostatni raz zaszleściłem liśćmi, każąc im nieść dalej w Polskę wiadomość, że ta Helena zginęła za swoją Spartę.